

PRZESZŁOŚĆ NIE ZAPOMINA. PRZESZŁOŚĆ CZEKA.

HANNA
GREŃ

PŁONĄCE
TAJEMNICE



PŁONAĆE
TAJEMNICE

HANNA
GREŃ

PŁONĄCE
TAJEMNICE

Copyright © Hanna Greń, 2024

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2025

Redaktorka prowadząca: Zuzanna Sołtysiak

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Józwiak, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i strony tytułowe: Mariusz Banachowicz

Fotografia autorki na skrzydełku: © Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-68479-97-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

Zabójstwo

Kiedyś, gdzieś

Spoglądali po sobie z przerażeniem, potem ich wzrok przesunął się bezwiednie najpierw na zbryzganą krwią ścianę, później na ciała leżące nieruchomo w czerwonej kałuży. Nie rozumieli, jak to się stało. Nie planowali tego, zamierzali tylko mężczyznę przekonać, ewentualnie trochę postraszyć. Dlaczego sytuacja wymknęła się spod kontroli?

Wyższy z nich, starszy o kilka lat od towarzysza, wyglądał, jakby lada moment miał się rozplakać. Broda drżała mu z emocji, gdy przemówił trzęsącym się ze strachu głosem:

– Kurwa, co myśmy zrobili! Co teraz będzie? Nie chcę iść do więzienia!

Niższy, wyglądający tak młodo, jakby egzamin dojrzałości czekał go dopiero za dwa, trzy lata, odzyskał już panowanie nad sobą. Urodzony przywódca, intuicyjnie wiedział, co należy zrobić, by nie dopuścić do ataku hysterii.

– Uspokój się! – powiedział, siląc się na rzeczowy ton, choć najchętniej rozkwasiłby koledze nos, którym tamten pociągał niby jakiś dzieciuch. – Nie pójdziemy do żadnego więzienia.

Gdy nie przyniosło to żadnego efektu, wymierzył koledze siarczasty policzek. To pomogło. Wyższy spojrzał przytomniej,

przestał przypominać zająca ściganego przez wygłodniałą sforę.

– Jak to? Przecież wszystko się wyda. Trzeba by usunąć zwłoki, zmyć krew, wytrzeć nasze odciski palców... Strasznie dużo roboty...

– A co masz w planach? Randkę życia czy przyjęcie u prezydenta, debilu jeden?

Kpiący ton niższego nie pozostawiał złudzeń co do jego opinii o intelekcie kolegi. Ten już chciał się obrazić, gdy usłyszał słowa będące miodem na jego złaknione pochwał serce:

– Ale tak w ogóle to pomysł jest genialny. Jeżeli zrobimy tak, jak mówiłeś, nikt się nie kapnie, że oni nie żyją. Będzie wyglądało, jakby wyjechali. Trzeba ich przenieść do lasu i zakopać.

Schylił się i złapał ręce leżącego, sprawa jednak nie była tak prosta, jak oczekiwał. Bezwładne ciało okazało się zbyt ciężkie. W końcu zdecydowali, że będą przeciągać zwłoki we dwóch. Teraz poszło im całkiem sprawnie. Zgodnie z przewidywaniami w stojącej opodal domu szopie znaleźli łopaty i zanieśli je do miejsca, gdzie zostawili zwłoki.

– Gdzie ich pochowamy? – spytał starszy, schylając się ku pierwszej z ofiar.

Młodszy rozmyślał przez chwilę, wreszcie pokręcił głową.

– Tu będzie dobrze. Tylko trzeba wykopać te badyle i potem posadzić z powrotem, to nikt się nigdy nie skapnie, że pod nimi są zwłoki.

Kiedy pochówek dobiegł końca, a ziemia nad grobem została uporządkowana, wrócili do domu, by zmyć krew z podłogi. Najpierw jednak musieli odpocząć. Łapczywie wypili znaleziony w lodówce kompot, potem zapalili.

Po dziesięciu minutach niższy zarządził:

– Koniec przerwy. Do roboty.

– Za chwilę. Nie mam siły się ruszyć – zaprotestował jęklawie wspólnik

Przywódca pozostał nieubłagany. Zapalił światło, by lepiej widzieć, i zaczął zmywać krwawe rozbryzgi z olejnej lamperii.

– Żadne, kurwa, „za chwilę”. Posprzątam i będzie z głowy. Bierz się za szmatę, ciuścoku, bo ci w końcu przypierdolę.

Nie wiadomo, czy na wyższego podziałała groźba, czy dotarła do niego słuszność argumentacji, w każdym razie usłuchał. Wstał, podszedł do zlewozmywaka i nabrał wody do stojącego obok wiaderka. Rozejrzał się za ścierką, ale nie zdążył zrobić nic więcej, bo oto drzwi niespodziewanie się otworzyły i w progu stanął obcy mężczyzna.

– Dobry wieczór – zaczął, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem. – Co tu się stało? Kim jesteście i co tu robicie? Ciebie znam. – Uśmiechnął się niespodziewanie do młodszego.

Nie miał pojęcia, że tymi dwoma słowami wydał na siebie wyrok śmierci.

– Pan wejdzie dalej, gospodarz zaraz wróci. Poszedł schować mięso zamrażarki – improwizował rozpoznany zabójca.

– Pomagaliśmy przy świniobiciu – dorzucił jego towarzyszy.

Przybysz automatycznie zwrócił się w jego kierunku i to dało młodszemu szansę na atak. Porwał ze stołu deskę do krojenia, zamachnął się z zamiarem, by zabić. Być może plan by się powiódł, gdyby był wyższy i miał więcej wprawy. Wówczas uderzyłby kantem z góry. Ale on był debutantem. Wyprowadził cios deską obróconą na płask, w dodatku nie sięgnął czubka głowy dużo wyższego mężczyzny i trafił tamtego w skroń,

a deska ześlizgnęła się po uchu. Obcy z jękiem zwałił się na podłogę prosto w krwawą kałużę, ale widać było, że jest tylko zamroczony. Za jakiś czas dojdzie do siebie, a wtedy...

– Muszę zadzwonić – oznajmił młodszy napastnik z nie-spotykaną u niego niepewnością. – Co się tak gapisz? Nie wiesz, kto to jest?

Nie czekając na odpowiedź, złapał słuchawkę stojącego na szafce telefonu i wykręcił numer. Usłyszawszy krótkie „słucham”, szybko zrelacjonował przebieg zdarzeń, po czym przeszedł do sedna problemu.

– Nie wiem, co z nim zrobić. Czy on jest z nami?

– Zgłupiałeś, młody? W życiu!

– No to nie wiem, co dalej. Bo to przecież jest...

– Zabij go – usłyszał wydane lodowatym tonem polecenie. – Najlepiej podpał tę budę, przy okazji pozbędziesz się śladów. I nie dzwoń do mnie. Znajdę cię, jak będzie trzeba.

Napastnik odłożył słuchawkę, pełen niemal bałwochwalczego podziwu, spojrzął na swą ostatnią ofiarę i zdziwił się nieprzyjemnie, ujrawszy, że mężczyzna doszedł już do siebie i usiłuje wstać.

– O nie, nic z tego – syknął gniewnie.

Chwycił leżący na stole nóż i wbił tamtemu pod lewą łopatkę. Był pewien jego natychmiastowej śmierci, tymczasem mężczyzna co prawda jęknął głośno, ale to było wszystko. Zdołał już podnieść się z podłogi i dysząc ciężko, stał pochylony do przodu z rękami wspartymi o uda. Czy ten gnój jest nieśmiertelny?

Płonący wściekłością zabójca szarpnął nóż sterczący mężczyźnie z pleców, lecz narzędzie się zaklinowało.

Ponowił próbę, czego nie ułatwiała mu ofiara, kręcąc się wokół własnej osi niczym tańczący derwisz. Wreszcie napastnik dopiął swego, a wtedy się przekonał, iż nóż ułamał się u czubka.

– Kurwa jego...

Przekleństwo zamarło mu na wargach, gdy zobaczył wywracające się oczy mężczyzny. Chwilę później obcy ciężko zwałił się na ziemię.

– Nareszcie! – zawołał zabójca do towarzysza. – Wychodzimy.

Chwycił osłupiałego kolegę za ramię i pociągnął do drzwi. Starannie zamknął je na klucz, po czym złapał gospodarcze wiadro i leżący obok kranu wąż, służący zapewne do podlewania ogrodu.

– Utnij, ile trzeba, i spuść całe paliwo z jego auta – rozkazał spoglądającemu bezradnie partnerowi. – Ja zrobię pochodnie.

Trwająca od jakiegoś czasu gwałtowna burza nie odpuszczała, a towarzysząca jej ulewa zrzucała na ziemię hektolitry wody. Musieli porządnie polać ściany benzyną, by ogień mógł wygrać z deszczem.

Nawykły do ślepego posłuszeństwa kompan nie zadawał zbędnych pytań. Bez słowa podszedł do samochodu. Wkrótce potem wieczorne ciemności rozświetliły nie tylko błyskawice. Stary drewniany dom nie miał najmniejszych szans w pojedynku z potęgą żywiołu.

Huk ognia zagłuszył szum deszczu, przebijały się przez niego tylko grzmoty oraz rozpaczliwe krzyki zamkniętego w domu człowieka. Po pewnym czasie te pierwsze przycichły – najwyraźniej burza przesunęła się na południe, w stronę szczytu Baraniej Góry. Te drugie natomiast całkiem ustały, co dało zabójcom pretekst do opuszczenia miejsca zbrodni.

Pewni swojej bezkarności, odjechali w doskonałych humorach. Zwłaszcza niższy był zadowolony. Wykonał zadanie śpiewająco, zatem nagroda z pewnością go nie minie. Zresztą pieniądze nie były tym, co najbardziej go interesowało, łaknął raczej słów uznania, podziwu dla swoich dokonań. Był kimś i chciał, by inni o tym wiedzieli.

Niecierpliwie czekał na telefon. Najchętniej sam by zadzwonił. Już nawet sięgnął po słuchawkę, gdy przypomniał sobie zakaz wypowiedziany kategorycznym tonem. Nie mógł go zlekceważyć, choć wszystko burzyło się w nim na myśl, że jest traktowany jak podwładny. Przecież cała akcja była jego pomysłem. To on zaproponował, by wydzierżawić od nadleśnictwa szopę stojącą na polanie i wykorzystać ją jako magazyn.

I to on pozbył się tego cholernego mądrali, który kupił tę działkę i nie chciał się zgodzić na dalszą dzierżawę szopy. „Powinniście być wdzięczni, że uhonorowałem waszą umowę z nadleśnictwem. A nie musiałem, bo w akcie sprzedaży nie ma o niej żadnej wzmianki. Nie macie tu już nic do szukania. Przestańcie się pałętać po moim terenie, bo wezwę policję”.

Zabójca aż się zatrząsł z wściekłości, wspomniawszy te słowa, wypowiedziane tonem, który odebrał jako wywyższanie się. Przypomniał sobie w porę, że temu gnojowi nic z tego nie przyszło, i humor od razu mu się poprawił. Facet mógł mieć forszę za nic, ale nie chciał, to teraz gryzie ziemię. Jego strata.

Telefon wreszcie zadzwonił. Odebrał natychmiast, po czym zdał relację ze swoich dokonań, lecz ku swojemu rozczarowaniu nie usłyszał słów podziwu, a jedynie podbite niepokojem pytanie:

– Jesteś pewien, że nikt was nie widział?

Obawa usłyszana w zawsze pewnym siebie głosie ucieszyła go niepomrotnie. Nareszcie będą rozmawiać jak równy z równym. A nawet lepiej, bo teraz to on był górą! Taki dodatkowy podarunek na dwudzieste urodziny.

– Niby kto? – prychnął pogardliwie. – Na tym zadupiu, jeszcze podczas burzy? Nie ma takiej możliwości. Zresztą opowiem ci wszystko, jak się spotkamy. Bądź za godzinę tam, gdzie zawsze.

Teraz to on odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Mógł sobie na to pozwolić, choć jeszcze godzinę temu nie ośmieliłby się tak postąpić. Wiedział jednak, że zabijając, wywalczył sobie pozycję szefa.

Nie miał natomiast pojęcia, że był ktoś, kto widział na tyle dużo, by domyślić się reszty.

Rozdział 2

Ucieczka

Wisła, 15 marca 2017

Szczęknęły drzwi wejściowe. Petra Procner zarejestrowała ten fakt, lecz nie uniosła głowy znad sporządzanego właśnie rysunku. Musiała go dokończyć i jeszcze dziś wysłać całą serię do wydawnictwa. Zuzanna może sama wziąć sobie obiad.

– W piekarniku są żeberka w kapuscie! – zawołała w stronę kuchni. – Zaraz skończę, to pogadamy o twoim wyjeździe.

Odpowiedziała jej cisza. Nie przejęła się tym. Podopieczna tak samo jak ona czy Konrad nie lubiła próżnej gadaniny, wołała milczeć niż mówić po to tylko, by mówić.

– Żeberka chętnie zjem, ale nigdzie nie zamierzam wyjeżdżać, chyba że z tobą.

Dochodzących zza pleców słów z pewnością nie wypowiedziała Zuzanna. Głos tylko jednego człowieka był w stanie sprawić, że serce Petry traciło zwykły rytm i przyspieszało do galopu.

– Konrad! Już wróciłeś?

– Skądże, to tylko mój hologram.

Zanim zdążyła wymyślić jakąś dowcipną ripostę, mąż wziął ją na ręce i mocno pocałował, czym do reszty zamącił jej w głowie. Zaraz na początku znajomości Petra doszła do wniosku, że Konrad

dysponuje tajemnymi mocami uniemożliwiającymi rozmówcy logiczne myślenie. Czymś na kształt zagłuszacza wi-fi lub fal radiowych, z tą różnicą, że oddziałującym na ludzką psychikę.

Od tamtego czasu minęło już kilka lat, a Petra nadal nie zmieniła zdania. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że ona, zawsze kierująca się logiką, nagle zaczynała mówić oczywistości i że brakowało jej słów, by odgryźć się celną repliką?

– Zaskoczyłeś mnie, bo miałeś przejechać dopiero w sobotę rano, ewentualnie w piątek wieczorem.

Pocałował ją jeszcze raz, potem zaniósł do kuchni i posadził za stołem, sam zaś nałożył sobie porcję żeberek i zabrał się do jedzenia. Odpowiedział dopiero po dość długim czasie, gdy zaspokoił pierwszy głód.

– Sorry, ale byłem tak głodny, że mogłbym zjeść deskę do krojenia. Złol, na którego polowaliśmy, został dzisiaj ujęty i oddany do dyspozycji prokuratora. Szef docenił moją pracę i kazał jechać do domu. A co najważniejsze, powiedział, że przed poniedziałkiem mam się w fabryce nie pokazywać.

Od dwóch lat Konrad służył w bielskim oddziale Centralnego Biura Śledczego Policji. Sama go namówiła, by przyjął tę propozycję, ale od pewnego czasu zastanawiała się, czy nie popełniła błędu. Na co dzień mąż mieszkał u przyjaciół i do domu wracał tylko na weekendy. Tymczasem Petra coraz trudniej znosiła rozłąkę i ostatnio ciągle łapała się na studiowaniu ofert biura nieruchomości. Bo chociaż na myśl o przeprowadzce i porzuceniu domu „Za krzywym skorusznikiem” ścisnęło jej się serce, chciała być bliżej męża.

Aż podskoczyła z radości na wieść, że będą mieć dla siebie całe pięć dni. Spojrzała na Konrada z uśmiechem i zdziwiła się

na widok powagi malującej się na jego twarzy. Czyżby stało się coś złego?

– Czemu masz taką minę?

– Musimy poważnie porozmawiać – odpowiedział niewyraźnie. Przełknął i dorzucił: – Przy kawie i koniaku.

Skinęła głową i włączyła ekspres, potem nalała im po lampce hennessy'ego. Nim mąż skończył się posilać, zdążyła przenieść tacę do stolika okolicznościowego i zestawić filiżanki z kawą i szkło wypełnione do połowy złocistym płynem. Potem usiadła w fotelu w oczekiwaniu na nadejście Konrada.

– Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy zdecydowaliśmy, że powinienem przyjąć ofertę przejścia do CBSP? – zagał, siadając w sąsiednim fotelu. – Że to nie miasto zawiniło i że nie masz nic przeciwko zamieszkaniu w Bielsku.

Odchrząknęła, by pozbyć się guli, nagle dławiącej gardło.

– Pamiętam. Ale doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy się śpieszyć. Że lepiej odczekać, zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie.

– I odczekaliśmy. Rok i osiem miesięcy to moim zdaniem aż nadto. – Procner popatrzył w smutne oczy żony i nagle przeprowadzka nie wydała mu się aż tak ważna. – W porządku. Możemy zaczekać jeszcze jakiś czas albo w ogóle zrezygnować z tego pomysłu. Tylko że cholernie tęsknię za tobą i Zuzką.

Petra zdążyła już się opanować.

– Ja też tęsknię. Tak bardzo, że zaczęłam przeglądać oferty sprzedaży domów – przyznała uczciwie. – Ale nic ciekawego nie znalazłam. Same wielgachne domiszcza. Z kolei te mniejsze są tak udziwnione, że oczy bolą od samego patrzenia. Albo

wymagają gruntownego remontu, a na to ja na pewno się nie piszę. A ty masz coś na oku?

Zamyślony Konrad łyknął odrobinę koniaku. Potem odstawił lampkę na stolik i znów spojrzał w kobaltowe oczy żony. Nie były już smutne, teraz rozjarzały je podekscytowanie i ciekawość.

– Kumpel mi powiedział, że jego kuzynka likwiduje swoje życie w Polsce i wyjeżdża na stałe do Australii. Między innymi chce sprzedać dom. Nowy, bo mieszkają tam zaledwie dwa lata. Mam zdjęcia. Chcesz zobaczyć?

Chciała. Mimo że mieli z mężem podobny gust, była ciekawa budynku, który w widoczny sposób przypadł Konradowi do serca. Wystarczył jej jeden rzut oka na fotografię zrobioną z góry, prawdopodobnie przy użyciu drona. Widać było na niej całą bryłę obiektu i Petra od razu zauważyła jej nietypowy kształt.

– To jest naprawdę ośmiokąt czy tylko tak wygląda?

– Właściwie to dziesięciokąt, ale na tym zdjęciu tego nie widać. Zobacz wewnątrz. Moim zdaniem... a zresztą nic nie powiem, żeby nic ci nie zasugerować.

Skinęła głową i w milczeniu oglądała fotografie. Wkrótce już wiedziała, co tak ujęło Konrada. Budynek, mimo że parterowy, okazał się bardzo przestronny. Petra wzięła do ręki plan, by się rozeznąć w położeniu poszczególnych pomieszczeń. Gabinet oddzielony od salonu rozsuwaną ścianką, kuchnia, sypialnia z własnym węzłem sanitarnym i garderobą, dalej łazienka oraz przyklepiona do wiatrołapu toaleta. Po drugiej stronie korytarza narożny pokój, następnie dwa inne.

Łącznie cztery pokoje plus salon i gabinet, przy czym, oprócz sypialni, wszystkie miały mniejszy lub większy kawałek ściany niezachowującej kąta prostego. Zachwycona Petra jeszcze raz popatrzyła na gabinet, bo w dotychczasowym domu tam właśnie spędzała większą część dni. Był przestronny i widny... chyba.

– Zaraz, zaraz – mruknęła do siebie. – Coś mi tu nie gra. Konrad, oglądałeś ten dom? Bo mi wyszło, że w gabinecie i salonie w ogóle nie ma okien.

Podawała mu plan, lecz on nawet na niego nie spojrzał.

– Nie ma okien, bo cała ta ściana jest jednym wielkim oknem – odparł z szerokim uśmiechem.

Teraz w pełni pojęła jego fascynację tym nietypowym domem. Mało tego, sama także poczuła, że musi w nim zamieszkać.

– Kupmy go. Zadzwoń do tej kobiety, że się decydujemy. Trochę mi szkoda sprzedawać ten dom. – Tu Petra wykonała zamaszysty ruch ręką, mający objąć całą posesję. Gdyby Konrad w porę się nie uchylił, trafiłaby go prosto w oko, a tak zamiast okręgu wyszła jej elipsa. To ją nieco zdeprymowało, zaraz jednak podjęła wypowiedź: – No i Zena będzie niepokieszona, ale jak mus, to mus.

– Czemu mus? Nie możemy zostawić go sobie na weekendowe czy urlopowe wyjazdy? Przecież nas stać.

Popatrzyła na niego zdumiona, po czym nagle palnęła się otwartą dłońią w czoło, aż klasnęło.

– Wyśmiewałam się z mojej bratowej, że jest przeciwieństwem prostej, a sama też okazałam się ograniczona. Tak przywykłam, że żyjemy z twojej pensji i tego, co zarobię rysowaniem, że całkiem zapomniałam o szmalu na koncie. Oczywiście,

że zostawimy sobie ten dom! – wykrzyknęła z entuzjazmem. – Przyda się nam taka baza wypadowa. Mężu mój, jesteś genialny! – zawyrokowała uroczyście.

Konrad co prawda nie poczuwał się do bycia geniuszem, ale ani myślał protestować. Zwłaszcza że przyszedł mu do głowy kolejny pomysł.

– Moglibyśmy go wynajmować. – Zauważył minę żony i czym prędzej doprecyzował: – Nie na długo i na pewno nie na weekendowe wypady znudzonych mieszcuchów. Miałem na myśli kogoś, kto musi zniknąć, ukryć się przed prześladowaniami. Tak jak na przykład Unisława trzy lata temu. Co ty na to?

Oczy Petry rozbłysły niczym supernowa. Unisława Sarat, była kochanka bielskiego gangstera, schroniła się właśnie na Równem, w domu odziedziczonym po prababce, kiedy po złożeniu obciążających Pastora zeznań przekonała się, że jej życie jest zagrożone. Unisława miała to szczęście, że miała dokąd uciec, ale było tysiące innych kobiet zaszczytanych, bezwolnych, niewidzących możliwości wyrwania się z pełnego przemocy związku.

Ten dom mógłby stanowić dla nich krótkotrwały azyl, tak bardzo im potrzebny. Petra świetnie o tym wiedziała, była jednak kiedyś jedną z nich. Jej pierwszy mąż był przemocowcem i gwałcicielem, który do tego stopnia ometał tęskniącą za prawdziwą rodziną Petrę, że pozwoliła niemal się ubezwłasnowolnić. Miała szczęście w nieszczęściu, gdyż podczas napadu na ich dom wprawdzie omal nie zginęła, ale przeżyła, podczas gdy on został zastrzelony.

Potem trafiła kumulację w totolotku i wybudowała dom na polanie „Za krzywym skorusznikiem”. Cztery lata temu

poznała Konrada, będącego całkowitym przeciwieństwem jej pierwszego męża, a od trzech lat mieszkała z nimi Zuzanna, dla której stanowili rodzinę zastępczą.

Bielsko-Biała, 18 marca 2017

– Musisz stąd zniknąć. Natychmiast. Zaraz. Już!

Rozbrzmiewający w ciemnościach głos wydawał się obcy, tak jak to mieszkanie. A przecież jedno i drugie należało do niej. Powinna czuć się bezpiecznie, zamiast mówić do siebie piskliwym, przerażonym tonem. Ale wcale tak nie było. Bała się tak bardzo, że nie umiała nawet zebrać myśli, a co dopiero się zdecydować, które ubrania włożyć do walizki. Stała bezradna przed otwartą szafą, jakby chciała potwierdzić opinię, że jest zbyt głupia, by móc o sobie decydować.

– Dość tego, ty debilko! – wrzasnęła, przerywając ciszę dzwoniącą w uszach. – Przestań rozpamiętywać i weź się do roboty!

Tym razem jej głos brzmiał pewniej, nie był już taki cichy i wystraszony. Sprawił, że oprzytomniała. Rzeczywiście powinna się pośpieszyć, jeśli chce zdążyć przed ich powrotem. Żadna impreza urodzinowa nie trwa przecież w nieskończoność.

Przy świetle latarki w telefonie przesunęła obojętnym wzrokiem po zawartości szafy i zamknęła ją, nie wyjąwszy ani jednej sztuki. Eleganckie kreacje nie będą jej już potrzebne, zresztą nigdy ich nie lubiła. Stanowiły symbol stylu życia, który był jej z gruntu obcy.

W mieszkaniu naprzeciwko ktoś włączył lampę, dzieląc się z nią światłem. Posłała mu w myślach słowa podzięk. Mogła

teraz odłożyć telefon, co znacznie ułatwiało sprawę. Przysiadła na moment przed toaletką, by zebrać myśli i ustalić priorytety, potem zaczęła wypełniać niedużą walizkę.

Sukcesywnie odhaczała punkty figurujące na wymagowanej liście. Nie było ich dużo. Bielizna, kilka sztuk odzieży na zmianę, trapezy. Prócz tego teczka z dokumentami i przede wszystkim laptop. To chyba wszystko? Już przy drzwiach przypomniała sobie o szczoteczce do zębów. Na wszelki wypadek dołożyła jeszcze pastę, mydło i ręcznik. Nie wiadomo, gdzie przyjdzie jej spędzić noc.

Miała ochotę rozejrzeć się jeszcze, sprawdzić, czy czegoś nie zapomniała, ale nie pozwolił na to jakiś wewnętrzny głos, mówiący z naciskiem słowa ponaglenia. Bezwiednie powtórzyła je za nim:

– Pośpiesz się! Za chwilę może być za późno.

Wyszła, gdy zegar wybijał dwudziestą trzecią trzydzieści. Nie oglądała się już za siebie. Jedyne, o czym teraz marzyła, to by zapomnieć o tym mieszkaniu i przeżytym w nim horrorze. Moment grozy nastąpił kilka minut później, gdy w drodze na parking oślepiły ją światła nadjeżdżającego samochodu.

Przez parę sekund, które jej wydały się wiecznością, stała jak wmurowana, nie mogąc się zmusić do zrobienia bodaj małego kroczka. Niczym królik wpatrzony hipnotycznie w oczy węża spoglądała na tylne światła oddalającego się pojazdu. Dopiero gdy zaparkował przed sąsiednim budynkiem, odzyskała zdolność ruchu.

Czym prędzej wsiadła do defendera i uruchomiła silnik. Potem ruszyła w stronę szlabanu, który uniósł się wolno, umożliwiając przejazd. Zmierzając w jego stronę, rozglądała

się czujnie, pewna, że za chwilę ktoś uniemożliwi jej ucieczkę. Jednakże nic takiego się nie stało, a portier nawet nie spojrzał w jej stronę. Ale i tak poczuła ulgę dopiero wtedy, gdy z tylnego lusterka zniknął widok strzeżonego osiedla, jak na urągowisko noszącego nazwę „Bezpieczna przystań”.

Wreszcie była wolna. Uboższa o kilkadziesiąt tysięcy, ale jakie mogło to mieć znaczenie wobec faktu, że znów mogła stanowić o sobie? Pomyślała, że innym pewnie wydałaby się głupia ta jej radość. Uznaliby jej strach za irracjonalny, problemy za wydumane, a ją samą za łatwowierną idiotkę i ostatnią melepetę. Bo jak inaczej nazwać kogoś, kto nie umie się postawić i pozwala sobą pomiatać? Ale oni nic o niej nie wiedzieli, nie znali przeszłości Danuty Wrangel, zwanej zdrobniale Utą.

Rozdział 3

Zgliszczka

Wisła, 18 marca 2017

Danuta wybrała trasę przez Biały Krzyż. Wcale nie dlatego, że chciała zwiedzać okolicę. Po prostu tędy było bliżej.

Mieszkała przy ulicy Krakowskiej i żeby dotrzeć do trasy prowadzącej przez Skoczów, musiałaby przejechać przez prawie całe miasto. A ona chciała opuścić Bielsko-Białą od razu, nie zamierzała pozostawać tu ani minuty dłużej, niż było to konieczne. Za bardzo się bała. Jak jeszcze nigdy dotąd.

To nieprawda! – krzyknął w niej wewnętrzny głos. *Już kiedyś odczuwałaś taki paniczny lęk. Tamten był nawet większy, tak ogromny, że wymazałaś go z pamięci, dlatego o nim zapomniałaś.*

Zadygotała, uświadomiwszy sobie, że rzeczywiście tak jest. Ale tamto zdarzyło się dawno temu, nic więc dziwnego, że zapomniała. Minęło blisko ćwierć wieku i gdy teraz usiłowała przywołać wspomnienia, okazało się, że pamięta tylko obłędny strach: paraliżujący zmysły, odbierający wolę i rozum. Jego przyczyny nadal pogrążone były w mroku.

Nieważne. To było kiedyś, teraz musiała zająć się czymś innym. Przede wszystkim opuścić miasto, później znaleźć miejsce na nocleg, a jeszcze potem lokum, w którym mogłaby się zatrzymać na dłużej. Do czasu zrealizowania planu, który

właśnie zaczął się krystalizować. Ale przede wszystkim musiała pojechać na Równe i przekonać się, czy będzie w stanie tam żyć. W miejscu, które powinno być azylem.

Z drogi zadzwoniła do hotelu wybranego spośród bogatej oferty. Kolejny raz błogosławiła internet, dzięki któremu życie było o wiele łatwiejsze. Nie musiała błąkać się po mieście w poszukiwaniu noclegu.

Po załatwieniu formalności zaspana recepcjonistka podała jej klucz i Uta mogła wreszcie odpocząć. Była tak bardzo zmęczona! Nie fizycznie, jak na nią pora wcale nie była późna, nieraz kładła się o czwartej czy nawet piątej. Należała do grona tych szczęśliwców, którym wystarczają trzy bądź cztery godziny snu. Ona czuła zmęczenie psychiczne, tak ogromne, że nie miała siły zastanawiać się, co powinna dalej robić. Po prostu padła na łóżko, jakby ktoś nagle odciął jej zasilanie.

Nie miała pojęcia, że swoim przyjazdem przebudzi uśpio-
ne moce, zarówno te drzemiące w niej samej, jak i inne, złe,
zagrożające jej życiu.

*

Nie idź tam. Wcale nie chcesz tego widzieć.

To mówił wewnętrzny głos, którego dopiero niedawno nauczyłam się słuchać. Wtedy jeszcze go lekceważyłam. Wypełzałam z domku i zwinnie niczym łasica zsunęłam się po konarach aż na ten najniższy, skąd mogłam czubkami palców sięgnąć ziemi. Nie zdążyłam tego zrobić. Dochodząca od strony domu poświata kazała mi się zatrzymać i spojrzeć w tamtym kierunku. Nie wolno tak robić! Nie!!!

Z gardła wydobył się nieludzki wrzask, a potem, gdy płomień pożerał budynek, zamieniając go w ogromną pochodnię, powtarzałam już tylko to jedno słowo. Nie krzyczałam, nie uroniłam ani jednej łzy. Moja twarz jakby skamieniała w bólu i tylko usta wciąż szeptały „nie”, niczym zaklęcie.

Wisła, 19 marca 2017

Obudził ją własny krzyk. Drżącymi palcami zapaliła lampkę nocną i zerknęła na tarczę zegarka. Wskazówki utkwiły na trzeciej dziesiątej, spała zatem niewiele ponad półtorej godziny. Nic dziwnego, że nadal czuła zmęczenie. Dla prawidłowego funkcjonowania powinna była przespać drugie tyle, ale wiedziała, że nic z tego już nie wyjdzie. Była zbyt rozdygotana po koszmarze, którego treści jak zwykle nie zapamiętała, choć czuła wewnętrzne przekonanie, że nie pierwszy raz nawiedził ją w snach.

Wyszła na balkon z papierosem, lecz zamiast go zapalić, wciągnęła głęboko w płuca ostre, górskie powietrze. Półtora roku temu rzuciła palenie. Nie ciągnęło jej do nałogu, a papieros trzymany w palcach stanowił jedynie swoisty rytuał. Cisza dzwoniła w uszach, sporadycznie przerywana dochodzącym od głównej drogi rykiem silnika. Uta chciwie chłonęła to wszystko, aż w końcu przekuła zainteresowanie w postanowienie. Musi tam pojechać i obejrzeć dokładnie, sprawdzić, czy pośród drzew nie czają się jakieś upiory z przeszłości.

*

Udała się tam zaraz po śniadaniu. W niedzielę urzędy były wszak nieczynne, i tak niczego by nie załatwiła. Jednak pojechała w to przekłète miejsce, choć kiedyś obiecała sobie, że jej noga nigdy tam nie poстане. Mimo to nie sprzedała działki. Chyba przewidywała, że jeszcze będzie przydatna. Prawdopodobnie dlatego odmówiła reflektantom, chociaż dawali naprawdę sporo. Zwłaszcza ten pierwszy.

Powiedział, że mieszka po sąsiedzku, na co od razu się na-jeżyła, bo gdzie w takim razie miałby się znajdować jego dom? Chyba że był to miniaturowy domek wyrastający pod jakimś grzybem lub krzakiem, a mężczyzna z nadejściem ciemności zmieniał się w krasnoludka czy innego hobbita.

Albo ten człowiek oszalał, albo beczelnie kłamał, w pobliżu bowiem nie było innego domu ani miejsca pod ewentualną budowę. Jak więc mógł być sąsiadem? Dopiero poniewczasie przyszło jej do głowy, że powinna była zapytać, skąd znał jej aktualny adres. Zrobiła to dopiero przy tym trzecim, a jego odpowiedzi sprawiły, że wreszcie zrozumiała. Pojęła też, że ma za mało argumentów i jest zbyt słaba psychicznie, by podjąć otwartą walkę. Musiała nabrać sił, nim wytoczy działa.

W każdym razie posesja nadal należała do niej i włączywszy GPS, Uta pojechała ją obejrzeć. Jeżeli nie będzie się nadawała do jej celów, po prostu ją sprzeda, i już. Zero sentymentów! Tak powiedział Ringo, jej najdawniejszy i najlepszy przyjaciel, kiedy odchodził z domu dziecka. Wtedy Danuta miała do niego o to żal, niemniej teraz stwierdziła, jak zwykle poniewczasie, że chłopak miał rację. Szkoda, że nie pamiętała o jego słowach dwa lata wcześniej, kiedy w progę mieszkania stanęli Oni. Wszystko

potoczyłoby się inaczej i nie musiałyby uciekać z miasta nocą niczym przestępca wyjęty spod prawa.

Aż zachichotała na wspomnienie kolegi z biura, który nie mógł zrozumieć powodów jej alergicznych reakcji na policyjny mundur. Zapytał wtedy: „Uta, czy ty masz coś na sumieniu? Bo zachowujesz się jak *outlaw*”. Inni oczywiście to podchwycili i od tej pory wyjęty spod prawa w anglojęzycznej wersji stał się jej przydomkiem.

Jechała powoli, chłonąc oczami okolicę. Kiedy ją zabrano, miała niewiele ponad sześć lat, nic więc dziwnego, że niewiele zapamiętała z tamtego okresu. Minęło przecież blisko ćwierć wieku. Co gorsza, wspomnienia nie na wiele się zdały, gdy przyszło do tak niby prostej sprawy, jak ustalenie trasy dojazdu.

Pamięć uparcie podsuwała jej coraz nowe sceny, na przykład tę, w której mała Danuśka stąpa ostrożnie po chybotliwych, na wpół spróchniałych deskach balkonu.

Teraz przypomniła ją sobie dokładnie. Pamiętała, że podskakiwała z radości, ujrawszy krajobraz rozciągający się aż po horyzont. Powietrze było tak przejrzyste, że dokładnie widziała okoliczne przysiółki. Nawet leżący najdalej Wyśni zdawał się znajdować dużo bliżej, bo była w stanie zobaczyć nie tylko pasącą się krowę, ale i poruszające się koło domu małe punkciki, będące zapewne kurami.

Takich zapamiętanych migawek było więcej, niestety żadna z nich nie pomogła w znalezieniu właściwej drogi. Gdyby nie GPS, Danuta pewnie nadal błąkałaby się pośród górskich lasów. Tymczasem nawigacja zaprowadziła ją prosto do celu, choć kobieta kilka razy zwątpiła w jej wskazówki i pewnie by

zawróciła, gdyby na drodze znajdowało się dość miejsca do wykonania tego manewru.

– Za sto metrów miejsce docelowe będzie po lewej stronie – oznajmiła znenacka sztuczna inteligencja.

Uta aż podskoczyła. Po przejechaniu ostatniego skrzyżowania nawigacja zaczęła wariować. Najpierw pojawił się komunikat „zawróć”, mimo że jeszcze przed chwilą ta trasa została zaznaczona jako właściwa. Potem przez dwieście metrów nawigacja powtórzyła chyba z pięćdziesiąt razy, że „połączenie GPS zostało zerwane”, i w końcu zamilkła na amen. Ostatni odcinek Danuta przebyła więc niejako z rozpędu, tylko dlatego, że nie było gdzie zmienić kierunku jazdy.

– Co ty nie powiesz! Za sto metrów to pewnie zobaczę wieżę widokową na Baraniej Górze – rzuciła swarliwym tonem. Nagle dotarło do niej, co robi, i roześmiała się w głos.

Co ja wyczyniam, na litość boćka! Pyskuję nawigacji... Mirek na pewno wymyśliłby dla mnie nową ksywę. Crazy Outlaw albo coś podobnego.

Posłusznie skrzyła w tę porośniętą trawą drogę. Wysokie źdźbła ugiwały się miękko pod naporem maski defendera. Kilka razy rozległ się cichy hurgot – znak, że na drodze pojazdu pojawiła się przeszkoda w postaci małego krzaczka. Prześwit pomiędzy drzewami powiedział jej, że nawigacja nie kłamała, faktycznie cel podróży był tuż-tuż.

Zarośla się skończyły, droga również. Zdezorientowana Danuta przez chwilę wpatrywała się tępo w dawno niekoszoną łąkę, pełną kretowin i kęp trawy. Potrząsnęła głową. To nie było to miejsce. Podjechała do przodu jeszcze odrobinę i wtedy zobaczyła coś, co przedtem zasłaniał gruby pień wysokiego

buka, otoczony gąszczem samosiewek. Odetchnęła głęboko, pełną piersią. Jednak dotarła do celu.

Przed sobą miała polanę, dokładnie taką, jaka niekiedy pojawiała się w jej potarganych, fragmentarycznych wspomnieniach. Takie odniosła pierwsze wrażenie i dopiero po pewnym czasie zauważyła istotne różnice. Wysiadła z samochodu i wsparta o maskę, chłonęła znajomy, a jednak obcy widok.

Płotek odgradzający ogródek warzywny od reszty ogrodu niemal całkiem zniknął, jedynie gdzieś tam dostrzegła słupki pochylone pod naporem czasu. Po grządkach nie pozostał nawet ślad, teraz ogródkiem władały bujne chwasty, co rozpoznała mimo śniegu częściowo zalegającego grunt. Ogród dziczał. Niepielegnowane drzewa rozrosły się w niekontrolowany sposób, ich korony stykały się i nie można było stwierdzić, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Krzewy porzeczek i agrestu albo całkiem zniknęły, albo utonęły pośród wysokiej trawy, teraz zeschnięte i martwe.

Uta przeniosła wzrok na prawo, gdzie na skraju polany tata posadził cztery srebrne świerki, mające symbolizować ich rodzinę. Dwa większe i dwa mniejsze. Rodzice i dzieci.

Fala wspomnień napłynęła tak nagle, że zakręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się auta, żeby nie upaść. Zobaczyła mamę mówiącą mężowi, że właśnie czytała książkę, w której bohater odprawił czary nad posadzonymi drzewami. Miały swoim wyglądem ostrzegać o ewentualnych chorobach członków rodziny. „Tylko że to były lipy, nie świerki” – zakończyła Elżbieta z cichym chichotem.

Na co tata odparł z poważną miną, że nie ma to znaczenia, bo jego czary działają na każde drzewo. Potem zaczął bić

drzewkom pokłony, machał rękami i wykrzykiwał słowa niemające żadnego sensu, a mama trzymała się za brzuch i płakała ze śmiechu. Mariusz oczywiście podbiegł do taty, by mieć swój udział w zaklinaniu drzew, i tylko ona, mała Nuśka, stała i gapiała się na nich oczami ogromnymi ze zdziwienia.

Wizja minęła tak szybko, jak nadeszła, i Danuta zamruwała, oślepiona porannym słońcem. Świerki w niczym nie przypominały teraz tamtych małych drzewek. Wyrosły wysokie, strzeliste, chociaż dużo niższe od swoich rówieśników, tych zwykłych, zielonych. Spojrzała na gałęzie pokryte długimi, srebrzysto-zielonymi igłami. Świerki wyglądały zdrowo. Wszystkie cztery, nie tylko ten najmniejszy, mający symbolizować właśnie ją.

– Nie wyszły ci te czary, tato – szepnęła.

Świerki przyciągały ją niczym magnes. Wolno podchodziła bliżej, dopóki nie znalazła się w samym środku wyznaczonego przez nie kwadratu. Aż westchnęła z zachwytem, ujrawszy taki sam widok, jak ten zapamiętany: jesion, który wtedy wydawał jej się ogromny niczym baobab, poniżej zieleń łąki, jeszcze niżej świeżo posadzone drzewka i wreszcie domy. A na przeciwnych zboczach przysiółki. Zapołom, Podwyśni, Wyśni... No tak, przecież balkon wychodził właśnie na tę stronę.

Bezwiednie spojrzała za siebie, chcąc się z nim przywitać, ale jej wzrok napotkał pustkę. Starego domu już nie było. Miejsce, gdzie stał, objęły we władanie pokrzywy, porastając je zwartą masą, i tylko gdzieś tam wyłaniały się nieśmiało rachityczne, stłamszone korony młodych brzoźek. Za jedną z nich Uta dojrzała poczerniałą od dymu belkę i nagły spazm żalu chwycił ją za gardło.

– Dlaczego? – spytała z rozpaczą w głosie, lecz obok niej nie było nikogo, kto mógłby odpowiedzieć.

Dość długo trwało, nim otrząsnęła się z przygnębienia. Brakowało jej czasu na rozpamiętywanie tego, na co nie miała żadnego wpływu. Przyjechała tutaj w konkretnym celu. Musiała podjąć decyzję o sprzedaży działki bądź o jej zatrzymaniu, co wiązało się z zamieszkaniem na niej. Czy będzie w stanie tutaj żyć?

Uta ponownie spojrzała na srebrne świerki i poczuła przypływ mocy. Wreszcie miała dość odwagi, by zrobić to, co powinna była wykonać już dawno. Sięgnęła po komórkę i wybrała stosowny numer. Zgłosiła się poczta głosowa, co przyjęła z niechęcią. Nie znosiła tego udogodnienia, niemniej postanowiła z niego skorzystać. Liczył się czas.

– Cześć, Ringo. Mówi Uta Wrangel. Potrzebuję twojej rady. Kiedy i gdzie moglibyśmy się spotkać?